ROK DRUGI.

№ 6.

Warszawa

Dnia 27 Stycznia (8 Lutego) 1857.

Niedziela

5ta po 3ch KRÓLACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wielebyśmy posiadali pokoju, gdybyśmy nie chcieli zajmować się tyle cudzemi mowami i sprawami, które do nas bynajmniéj nie należą.—Błogosławieni prości, bo pokój udziałem ich będzie. (O naślad. Chr. Ks. 1. Rozd. IX).

Przyjaciel ludu.

(Wspomnienie).

Przed trzydziestu laty major D. M. właściciel dóbr ziemskich w Litwie, poświęcił całe swoje mienie na uszczęśliwienie swoich poddanych.— Bezżenny i bezdzietny, spodziewał się utworzyć dla siebie liczną i przychylną rodzinę ze swoich włościan. Zaczął, jak zwykle wszędzie zaczynano od kształcenia młodego pokolenia. Założył wiejską szkółkę, opatrzył ją dostatnio we wszystkie potrzeby, i wkrótce ujrzał z radością dzieci swych włościan umiejące dobrze czytać, pisać i rachować.

Ale niedługo była ta radość; uczona młodzież okazała się za mądrą do robienia, za głupią do rządzenia. Narzekali rodzice, że im szkoła dzieci popsuła, bali się jéj jak ognia, kryli dzieci przed szkołą, a uczonych pozbyli się jak mogli, pomieściwszy ich za pisarzów i pisarków na lekkim, chociaż nietrwałym i nieposilnym chlebie.

Za to się panowie pisarze wstydzili swojéj braci, wypierali chłopskiego rodu, a swych podwładnych niemiłosiernie prześladowali, i zabrnęli na téj drodze tak szeroko i głęboko, że świat ich, a oni świat sobie zbrzydzili; odepchnięci przez przyjaciół i rodzinę, z nędzy zmarnieli.

Z boleścią patrzył dziedzic na gorzki owoc tak troskliwie pielęgnowanego drzewa; zaczął szukać lepszego, a zobaczywszy ówczasowe szkółki wiejskie w Królestwie, i nagadawszy się z ludźmi w tym zawodzie doświadczonymi i zamiłowanymi, postanowił naukę słowa przemienić w naukę czynu, i w nabyciu praktycznych a pożytecznych wiadomości, prawdziwy pożytek czytania, pisania i rachunków przedstawić.

Zdarzenie mieć chciało, że właśnie w tym czasie, dziedzic ów zaprowadzał u siebie rzędową uprawę kartofli która w Litwie nieznana, w Królestwie wówczas była jeszcze nowością.— Szczerze wzięto się do dzieła, kazano rolę na kartofle kilka razy orać, redlić, bronować, wałkować, a porysowaną znacznikiem w szachownicę zasadzono kartoflami z największą regularnością.— Śmieli się sąsiedzi z tej fantastycznej pracy dziedzica, a lud wiejski szeptał w cichości, że po majorowsku sadzą kartofle; boć te wszystkie wałko-

wania, rysowania i inne ceregiele toby się biednemu chłopu nie opłaciły.

Wkrótce kartofle regularnie zaczęły wschodzić, a na szczęście majora rok był szczególnie nieprzyjazny ich wzrostowi.— Trzeba je było często okopywać i obsypywać wzdłuż i na poprzek, co im wzrost ułatwiało i od posuchy broniło. Radełkiem łatwo koń i człowiek parę dziesięcin (blisko 4 morgi) na dzień obredlił, ależ z motykowaniem włościanie rady dać nie mogli. Zaczęli wprawdzie przebąkiwać, że taki po majorowsku to może i nieźle. Ależ jak przy zbiorze sami cztery razy większy plon wymierzyli z dworskich, aniżeli ze swoich roli; wtedy dopiero poznali, że tylko po majorowsku trzeba sadzić kartofle.

Ależ jeszcze nie wierzyli, czy to zawsze tak będzie; bo niepojmowali, dlaczego kartofle po majorowsku sadzone tak bardzo obrodziły, czyli taka uprawa dla każdego gruntu równie jest potrzebną i użyteczną. Zaczęli się o to wypytywać dworskich parobków, karbowych i kogo tylko znali, że ich w tem pouczyć potrafi.-- Nie uszło to baczności dziedzica; kazał zapowiedzieć swoim włościanom, że ich sam nauczy kartofle po majorowsku uprawiać, jeżeli w każdą sobotę wieczór na chwilę przyjdą do szkoły.

Tymczasem w szkole przysposobiono modele pługa, brony, radła, redełka, wałka, znacznika i wszystkich narzędzi do rzędowéj uprawy kartofli patrzebowanych; a nawet usypano na stope grzędę ziemi, żeby działanie tych narzędzi widoczniéj pokazać.

Z początku przyszło kilku ciekawych, potem wszyscy starzy, a wkrótce tyle ze wsi, ile ich się w szkole mogło pomieścić.

W następnym roku cała okolica po majorowsku kartofle sadziła, a szanowny dziedzic na łaskawych dla siebie gości, zamiast wistowéj, taką nałożył kontrybucyę, że każdy musiał coś pożytecznego jego włościanom w szkole powiedzieć, lub téż dla ich młodego nauczyciela, także wiejskiego chłopca wykształconego, coś praktycznego napisać.

Nie wiem, jakie były dalsze skutki tego aktu miłości bliźniego.— Podobno szanowny major dawno już udał się po nagrodę za swoje szlachetne usiłowania, tam wysoko, gdzie się wszystko a wszystko ze ścisłą sprawiedliwością wynagradza, jako prawy chrześcianin wyznawca Chrystusa który także dobrowolnie poświęcił życie dlatego tylko, aby niewdzięcznym ludzkim stworzeniom szczęście i zbawienie zapewnić.

———

Pogadanki starego rolnika.

—

I.

—„ Chłopcy— rzekł jednéj niedzieli Janek do gromady, gdy się dosyć o różnych rzeczach z sobą nagadali— chłopcy, wszak to pono zapusty?— W karczmie grają, to i my możebyśmy się troszkę przypatrzyli, jak się młodzież w tańcu uwija.—Uczciwa zabawa to nie grzech, a choć nam starym nogi niebardzo statkują, ale błogo oczom choć popatrzyć się na ludzką uciechę.— Wiecie co, chodźwa, wszak to dziś dzień nierobotny.“

—„A to chodźwa, odrzekli wszyscy, a Bąbała podskoczył ochotnie, przekręcił czapkę na ucho, i wykrzyknął.

—„ Hu! ha!“

Młode chłopaki trącili się między sobą, w skrytości się uśmiechnęli, bo im szło o Janka, co im raz o takie kpinki dobrze nadonderował, i jeden rzekł do drugiego.

—„ Dopiero to Bąbała będą śmigać w karczmie, kiedy już na dworze dodają sobie takiéj ochoty“.

Chociaż od chałupy Janka do karczmy było dosyć daleko, bo może jakie ze sześcioro staj, jednak słychać było wrzawę ludzką, nikiéj szumienie kół młyńskich, kiedy ze stawu woda na nie zlatuje i obraca; a im bardziéj się przybliżali, tém wyraźniéj do uszów dolatywała i wrzawa, i krzyki, i granie, a nawet tupot nóg, co tak raźno wybijano i nie żałowano podkówek i obcasów.—Janek idąc, nic nie mówił, ino czasem westchnął i ręką potarł się po czole, jakby mu co frasobliwego przychodziło do głowy, a kiedy już doszli do saméj karczmy, i zobaczył chmarę ludzi, co ją obległa nikiéj ul pszczoły, obrócił się do sąsiadów i rzekł:

—„ Powiedziałem wam moi ludzie, że uczciwa zabawa to nie grzech, i nie zaprę się swego słowa.— Ale każda zabawa dopiero wtedy jest uczciwą, kiedy człowiek wszystko wprzódy zrobił to, co do niego przynależy.—Jak ci ludzie, co się teraz bawią, obrządzili się w domu, tego nie wiem, bo na przeszpiegi po chałupach nie chodzę, ale nie musi tam być wszystko jak wypada, kiedy zabaczyli z rana zaraz o najważniejszéj

rzeczy, bo o modlitwie i nabożeństwie. Dziś byliśwa wszyscy jak tu jesteśmy, w kościele, z naszéj wsi na palcach można było ludzi zrachwać; a tu w karczmie mało którego brakuje, i taki tłok, że się trudno do izby przecisnąć.

—„A wymówki nie brakuje“ Ej! moi kochani, mówi jeden, jakoś wietrzno na dworze, pogoda niepewna, nie mam butów całych, boli mnie nożysko, i cały jakoś słabuję, właśnie zostanę w domu“.

Inny znowu odrzeknie:

—„Byłem w kościele tamtéj niedzieli, i nie mam przyodziewku jak wypada, to między ludźmi nie chce mi się świecić dziurami; zostanę w domu.“

Dosyć, że u każdego wymowiska nie braknie, kiedy idzie o pójście do kościoła, ale niech ino skrzypki się w karczmie odezwą, to choćby wiało na rozwianie, a deszcz lub śnieg padał strumieniami, to i kulawy i ślepy i chory tak lecą, jakby nigdy nic, jakby każdy chorobę lub bolenie zostawił w chałupie; i wnet w karczmie zrobi się pełno, i nikt nie zważa ani na przyodziewek, ani na to, że już był poprzedniéj niedzieli w karczmie, ino czapka na ucho, poły od kapoty w rękę, i ostro do podkówek, do obcasów i do kwaterki!— hulaj dusza! niech znają, jak się ludzie w Marusicach bawią!

Ale karczmę stawiać przed kościołem, oj! to źle moi ludzie, i nigdy człowiekowi nie wyjdzie na dobre.

O te kilka słów nie gniewajcie się moi ludzie, mówił daléj Janek, obracając się do gromady, że wam niemi wtedy głowę turbuję, kiedy oczom milej patrzeć na zabawę ludzką, jak uszom słuchać.—Ale widzicie, człowiek to w każdej chwili i w każdem miejscu powinien starać się, żeby zawdy coś nabierał do rozumu, bo wtedy co dzień to będzie mędrszym, więc i lepszym.“

Na te mądre słowa Janka Bąbała wyraźnie chciał coś w gadce nowego wyprowadzić, bo się zatrzymał, rękę założył za pas i przekrzywiając głowę, trącił Janka po ramieniu i rzekł:

—„Mój Janie! posłuchajcie mnie........ dobrze tak wam mówić...... ale widzicie....... ja nie dzisiejszy...... to..........“.

I kiedy Bąbała tak jąkał się, po każdem prawie słowie łykał ślinę, krzywił twarz i coraz bardziéj w gadce mu się nie szykowało, młode chłopaki omało się nie pozagubiali, i dusili tak śmiech w sobie, że aż im oczy nikiéj z płaczu pozachodziły łzami.— Wreszcie jeden Ignacy Modras, wielki śmieszek nie mogąc już wytrzymać, rozśmiał się na całe gardło, ale pokalkulowawszy zaraz, że to nie wypada, buchnął na ziemię, na niego chycnął Jasiek, na Jaśka Matus, potem Wojtek, Tomek, dosyć moi ludzie, że wnet się zrobiła duża kupa ludzi, z któréj wyglądały tu ręce, tam głowa, tu nogi, i wszystko się to ruszało, chychotało; raz ten wyłaził na wierzch, drugi raz inny, a tamten szedł na opór, i tak ciągle— wreszcie powstali wszyscy, zakurzeni, bez czapek, z rozczochranemi głowami, rozmamani; ale wnet poprawili czupryn, odziewków na sobie, obkurzyli się, i jakby nigdy nic, ino sapiąc niekiedy od zmęczenia, dogonili gromady, co już tudzież dochodziła do karczmy.— Kiedy się już zrównali z ludźmi, wtedy Ignacy wskazując głowę Bąbały, trącił Tomka, ten znowu Wojtka i tak het! daléj, i jak się obnieśli, tak ino ino co znowu nie zachychotali, ale w téj chwili Janek się obrócił do nich, i marszcząc brwi, przyłożył palce do ust na uciszenie się.

Ponieważ słonko zniżyło się ku zachodowi i ludzie mieli już dosyć czasu do zabawy, więc gwaru i wrzasku nie brakowało w karczmie, a patrząc po twarzach i tych, co tańczyli i co rozmawiali, zaraz można było z czerwoności, z oczów i z plątania się języków pokalkulować, że kwaterka z wódką choć nóg nie ma, ale już dosyć między niemi chodziła, i niejednemu odebrała i nogi i rozum z głowy, a język poplątała, że nijak w gębie ruszyć nim nie mógł uczciwie.—Janek z gromadką kiedy przetłoczył się przez izbę, stanął se pod ścianą, kazał podać garniec piwa, bo powiadał, że wódka, to się powinna ino pić przy pracy, przy ciężkiéj robocie, a kiedy się chce pogaworzyć z dobrymi ludźmi, to żeby od gadki w gardle nie zasychało, dobre jest piwo, i ino piwo powinni pić wtedy ludzie.— Otóż jak se Janek z gromadą stanął pod ścianą, i ludziska po szklance piwa wygarnęli, uczęstowali się tabaką, Bąbała zapalił fajkę, i zaczęli się przypatrywać, bo było na co patrzeć.

Na stole po drugiéj stronie izby siedział skrzypek, a przy nim basetlista, i wygrywał tak ładno, tak skoczno, że pary, co tańczyły, to ino furczały nikiéj frygi, chłopaki krzesali ognia w podkówki że ino dzwoniło, i zdawało się, że ino się iskry posypią na podłogę; a ci co dokoła przypatrywali się, to galanto w jedności przytupywali nogami, oczami gonili tańczących, i jaki taki zła-

pał sąsiadkę co wedle niego stała, obrócił się z nią raźno wkoło, i znowu spokojnie przystanął w miejscu.—I ładno było spojrzéć na taką wesołość ludzką; to też Janek patrzył i uśmiechał się troszkę, bo widać, że se wspomniał młode lata jak był parobczakiem, jak w karczmie zacharował wedle dziewuch, jak po skrzypkach wywijał równie ochotnie. A jak jeden przystanął z kraśną dziewuchą nikiéj lilija i zaśpiewał:

„Dudni woda dudni,
W cembrowanéj studni,
Zakochać się łatwo,
Lecz odkochać trudniéj."

i potem krzyknąwszy ochotnie „hu ha!" ruszył ostro daléj w taniec; Janek obrócił się do sąsiadów i rzekł:

—„Moi sąsiedzi! kiedy się bawią i ochotnie i z uczciwością, to na ludzisków wtedy ładno spojrzéć, bo człowiekowi się zdaje, że młodzieje, że mu lat ubyło.—Zabawa zaś taka, co się ludziom podoba, to i Bogu jest miłą, bo nietylko modleniem chwali się Boga, ale wszystkiem, i poczciwą rzetelną pracą, i poczciwem życiem, i kochaniem ludzi i dopomaganiem im w każdym wypadku, i nawet zabawą i tańcem, aby ino przez to nie niszczyć zdrowia, nie mitrężyć po próżnicy czasu i nie tracić marnie grosza.—Wszystko bowiem, co ino jest na świecie, wszystko to pochodzi od Boga; więc i skrzypki i taniec i zabawę na to Bóg dał, żeby ludzie mieli z tego uciechę, aby ino z umiarkowaniem, i wtedy, kiedy wypada.—A jakby człowiek źle robił, żeby nie folgując w pracy, nawet i w dnie świąteczne zatrudniał się robotą. i nie myślał o nabożeństwie i odpoczynku, tak równie i ten źleby robił, coby się ino przez cały tydzień i zawdy zabawiał tańcem i uciechą. Ale ludzie tego nie zachowują; nieraz w powszedni dzień hultają się, upijają, a w niedzielę handlują, a często pracują.—To też źle jest na świecie; ale o tem przy wolniejszym czasie rozgadam się moi sąsiedzi, bo teraz przy zabawie to jakoś taka rozgadka nie idzie składnie."

Zaledwie Janek skończył mówić, tuż niedaleko od niego odezwała się jedna kobieta średniego wieku, i widać, że nie z jednym kieliszkiem w głowie, bo obrócona twarzą do drugiéj mówiła z gniewem, przytupując nogami.

—„Moja śliczna! moja elegantka!—będzie tu wyjeżdżać ze swoją familią."— I niby udając mowę tamtéj kobiety, mówiła z przekpiwaniem — „moje kochaneczki, moje sąsiadki, nie pójdę do kościoła, bo ja dójka dworska, to się wstydzę swojéj familii."—Moja śliczna! jakgdyby jéj familia karetami jeździła.— Przecież ja swojéj familii nie mam się co powstydzić, bo jeden brat jest gospodarzem w Kobylanach, a wujek ożenił się z wdową kolonistką, a równie nie wstydzę się tego, żem dójką dworską.— Moja śliczna, moja pani, widzicie ją."

—„Mielcie językiem"—odpowiedziała druga, obracając się plecami.

—„O mielcie, mielcie."

—„Albo to ja młynarka, albo co?—Ą ty okarnico, ty nosiworku!...

—„No—no—ino z przezwiskami ostrożnie"— odezwał się na to mąż tamtéj kobiety, i zataczając się, bo już był dobrze napiły, przysunął się do krzyczącéj kobiety i mówił daléj, bełkocząc, że go trudno było rozumieć—„ani ja, ani moja kobieta worków nigdy nie nosiła, to wam zasie moja Wojtkowa!...."

—„Ja tam z Tomaszem nie mam żadnéj sprawy"—odrzekła Wojtkowa—„idźcie sobie z Bogiem pókiście cali."

—„Ale— pókiście cali"— powtórzył Tomasz—„bo jak was zamaluję, to........"

I przy tych słowach tak się zatoczył na Wojtkowę z ręką do góry podniesioną, że ta nie mogąc się na nogach utrzymać, upadła wznak na ziemię z wielkim krzykiem, za nią buchnęło coś ze czworo ludzi, ci znowu wlecieli między tańczących, i jak potem zaczęli ludzie jeden za drugim lecieć, to jak gruszki albo jabłka z drzewa, że nie zeszło czasu więcéj jak pół Ojczenasz, a na środku izby zrobiła się wielka kupa nikiéj stóg siana, ino że tu było widać głowę, tam nogę, tu rękę, tu słychać było wrzask, tam śmiech, tu pisk kobiecy, tam znowu krzyk chłopski.— I tak się to wszystko przewracało, przewalało, bo wielu było nie z próżnemi głowami, nikiéj snopki w stodole, kiedy z zapola wyrzucają je do młocki na klepisko, że aż nie miło było patrzéć na taką poniewierkę ludzką.—Ale nie na tem jeszcze koniec.— Bo kiedy się ludzie tak zaczęli przewracać, i Wojtkowa wniebogłosy krzyknęła, mąż jéj sądząc, że mu kobietę biją, jak nie uchwyci Tomasza za czuprynę, jak nie utnie nim o ziemię, to ino zaszumiało, i przy téj okazyi znowu kilkoro ludzi upadło.—Z tego wszystkiego zrobiła się ogólna bitwa, jedni trzymali stronę Tomasza, inni znowu Wojtka, ten tego dusił za gardło, inny znów trząsł za ożydle (klapy), ten cią-

gnął za czuprynę, ten walił pięściami nikiéj cepem, gdzie ino trafił, kobiety ciągnęły za poły prawie na udarcie, a w tem wszystkiem, co było wrzasku, krzyku, co przekleństwa, co obrazy Boskiéj, to aż włosy na głowie stawały, aż z oczami i z uszami chciało się uciec, żeby nie słyszeć i nie patrzeć na taką niegodziwość ludzką. I nie wiedzieć na czemby się to było skończyło, bo może w tym tumulcie byliby się pozabijali albo podusili, gdyby nie szynkarz i z kilkoma gospodarzami, co porwali konewki i zaczęli precz chlustać wodą na bijących się.—Przez to bitwa zaczęła się uspokajać, jaki taki powstał na stronę, i otrząsał się z wody nikiéj nie przymierzając pies, kiedy wyjdzie ze stawu, a tym co byli zawziętsi i jeszcze trzymali się za czupryny, wylano po parę konewek wody, tego wrzucono w jeden kąt, innego za drzwi co był upartszy, i tak przecie bicie na ręce uspokoiło się, bo co do gęby, to ta jeszcze ze wszystkiem nie ustatkowała się, gdyż Bogiem a prawdą, miała się czem teraz zaprzątnąć.— Nie było bowiem między kupą ludzi co się poprzewracali ani jednego prawie takiego, coby nie był przemoczony do nitki, albo żeby nie spotkała go jaka szkoda; więc jak się przypatrzyli, że temu rozerwali na gardle koszulę, temu urwali rękaw albo połę od kapoty, téj zerwali chustkę z głowy i zdeptali nogami, owéj znowu podarli fartuch, albo rozsuli paciorki, i że z tego wszystkiego co na nich, cieknie ciurkiem woda; to taki się zrobił wrzask, taki lament, że niktby nie chciał uwierzyć, że to są ci sami ludzie, co przed chwilą tak się spokojnie i wesoło bawili.

Janek markotnie patrzył na to wszystko, i kiwał głową, bo i jemu choć nie bicia, ale popychania i wody także trocha się dostało, a jak wyszedł z karczmy, odezwał się do kilku sąsiadów, co razem z nim wracali w jednę stronę ku domowi.

—„Oj! ta gorzałka, wszystko to przez nią, a chociaż ludzie wiedzą, że przez nią stają się bydlętami, że niszczą zdrowie, obrazą Boską zagubiają sumienie, równie jednak za gorzałką ino drżą, i niech gdzie zadzwonią kieliszkami, to wnet ludzi zbiegnie się nikiéj ćmy do ognia.— Oj! ta gorzałka, co ona robi złego na świecie między chłopami, to bodajby przepadła na wiek wieków, jak co ma tyle ludzi zagubiać!

—„Ej! mój Janie“—odezwał się na to Stach Pakuła—„kiedy jest gorzałka na świecie, to i na cóż?—jużcić na nic innego, ino na to, żeby ludzie ją pili.—A że rozum odbiera, to i pocóż taką ma moc w sobie?“

—„Mój Stachu“—odrzekł Janek—„mówicie nikiéj maluśkie dziecko.—Bo nietylko gorzałka jest na świecie, ale i różne trucizny, jak szaléj, wilcze łyko, tendera, arszenik, i ta inne jeszcze, a równie człek ich nie je, i chroni się od nich nawet.......

„Ba!“— przerwał Pakuła— „jakże ma jeść, kiedy w nich niema nijakiego smaku, a nawet gorzkie, niemiłe......

—„A gdyby były smaczne“— zapytał Janek— „tobyście jedli?“

„Bogać ta miałbym jeść, kiedyć wiem, że to trucizny.“

—„A gorzałkę pijecie, chociaż i ona nie mniejsza trucizna od innych.“

—„Ba!— jużcić trucizna, ale ino dla tych, co jej zażyją bez pomiarkowania, bo rozum człowiekowi odbiera; ale dla ludzi co z gorzałką do zbytku nie chcą się wdawać, to kieliszek wódki i smaczny i zdrowy“.

—„Bardzoście mądrze powiedzieli mój Stanisławie“— odezwał się znowu Janek— „bo Bóg co tylko stworzył na świecie, wszystko to dał ludziom, pewno nie na złe, tylko na dobre; dlatego z szaleju, tendery, arszeniku i t. d. choć to są trucizny, i odebrać mogą ludziom życie, ale po aptekach wyrabiają różne leki, co ludzi leczą w chorobach. — Gorzałka znowu choć robi ludzi co jéj nadto używają, niedołęgami, bez sił i bez rozumu, ale użyta w mierności, tak kiliszek, to pomaga do strawności, rozgrzewa żołądek i zaostrza apetyt.— Ale ludzie zwyczajnie jak ludzie, każdą rzecz wykręcają po swojemu, i jak poznali, że kieliszek gorzałki dodaje jakoś ochoty i raźności, tak daléj za drugi i za trzeci, i z tego pomału zaczęło się pijaństwo.—Pijaństwo zaś moi sąsiedzi, nietylko że niszczy człowieka na ciele, bo odbiera mu zdrowie, najdroższy dar Boży.........

—„Oj! prawda, oj! prawda, potwierdzili słuchający, bo bez zdrowia toby człowiek żadnéj nie mógł dać rady.“—

—„Bardzo mądrze mówicie“— mówił daléj Janek—„otóż pijaństwo nietylko niszczy człowieka na zdrowiu, na kieszeni, i prędzéj późniéj zawsze pijaka wyprowadzi na nędzę i poniewierkę, ale do tego, co najgorsza, zagubia go na duszy, i odsuwa człowieka od miłosierdzia Bożego.— Bo ino sobie rozważcie. Kiedy my

na ten przykład zapomożemy jakiego gospodarza, i damy mu korzec ziarna czy na jedzenie, czy do siewu, a on zamiast spożytkować to uczciwie, zmarnuje, roztrwoni i ziarno zgnoi, to powiemy, jak przyjdzie znowu do nas z proszeniem, „hultaj jesteś, nicpoń, niewart jesteś miłosierdzia ludzkiego.“

Jeżeli się jeszcze raz nad nim ulitujemy i zapomożemy znowu korczykiem ziarna, a zapomoga nasza tak samo pójdzie na marność jak wprzódy, to wtedy taki marnotrawca musi długo chodzić, molestować, zanim znowu gdzie uprosi zapomogi.— A jeżeli i ten trzeci raz pomocy ludzkiéj nie obróci na dobre, to już na piękne zamykamy dla niego nasze serca, i powiadamy bardzo sprawiedliwie:

—„ Mój kochany! po trzy razy mieli ludzie litość nad tobą, a ty zawdy byłeś jeden hultaj, nicpoń i marnotrawca, niewart więc jesteś miłosierdzia ludzkiego, idź na biedy i nędzę, któréj sam pragnąłeś i na jaką zasłużyłeś“. I potem choć widzimy, jak się taki człowiek biedzi i martwi, to mówimy— „jak se posłał, niech się teraz tak wysypia; chciał biedy, niech jéj używa, wszakżeśmy się po trzy razy nad nim litowali i zawdy po próżnicy, niewart więc jest litości.“

Tak samo się moi ludzie! dzieje i z pijanicą. Bo Bóg żeby człowiekowi dopomódz, żeby mu było dobrze na świecie, i żeby przygotował sobie za życia zbawienie duszy po śmierci, dał mu rozum i to poznanie, co jest złe, a co dobre. — Jeżeli więc człowiek zamiast rozumu tego używać jak dobry gospodarz na starunek wedle swéj wygody, wedle zdrowia swego, i wedle tego, żeby codzień był poczciwszy i lepszy, zalewa gorzałką, przez to marnuje ciężki zarobek, niszczy zdrowie, i zamiast coraz lepszym stawać się człowiekiem, to on robi się bydlęciem, to wtedy taka rzecz nie może się podobać Bogu.—W miłosierdziu więc swojem Bóg zsyła na takiego człowieka gwoli upamiętania różne choroby, głód, biedę, a gdy to wszystko nie pomaga i człek w pijaństwie zawsze jest jednaki, wtedy na piękne go opuszcza na ziemi, a po śmierci skazuje duszę na wieczne potępienie za grzechy, które w pijaństwie swojem popełnił.— A grzechy te moi ludzie! są bardzo wielkie, bo kiedy człek przy rozumie grzeszy, to cóż dopiero nie wydziwiać musi człowiek wtedy, kiedy rozum ten zaleje gorzałka?

Ot na ten przykład dzisiaj; i z czegoż poszło takie zabijanie się ludzi w karczmie, że ich aż musieli wodą polewać? Jużcić z gorzałki wszystko, a taka kłótnia, takie zabijanie się, taka obraza Boska takie przerzywanie, czy mogą być miłe Bogu?.

A widzicie, ot my że uczciwie na zabawie czas w karczmie przepędziliśmy, że trzeźwo do domu wracamy, tak, jak wypada na porządnych ludzi, to nam jakoś i raźno i ochotnie, bo na sumieniu nic nie mamy, i jutro każdy rano ze śmiałością pochwali Boga, potem zbierze się chętnie do pracy, bo będzie zdrów. Tamci zaś, co się bili, przeklinali, to już dziś choć z gorzałką w głowie. a dobrze macają się po bokach, po głowie, czuprynie, bo pewnikiem nie u jednego i guzów i sińców nie brakuje.— Jak zaś się opatrzą, że téj brakuje chustki, téj rozsuły się korale, owéj podarli koszulę, temu kapotę albo kożuch, to się dopiero pomarkoczą, nawzdychają, a niejedno i gorzko zapłacze.— Jutro zaś u każdego w głowie będą nikiéj kamienie, w gębie i gorzko i kwaśno, do pracy ani weź, więc daléj na klina do gorzałki.— I tak po troszku, po kieliszku człek pomału staje się pijakiem, a choć o trzeźwości jeszcze nie ze wszystkiem zabaczy, to równie na takie urywki dobrze nadszarpie i zdrowia i kieszeni, i namitręży czasu, którego przy gospodarstwie lub obowiązku zawdy jest zamało, i musi mu być bieda.

Dlatego moi ludzie, odwodźcie innych od gorzałki.—Każdy z was ma żonę, ma dziatki, to uczcie ich, że gorzałka wiedzie ludzi do próżniactwa, a próżniactwo wszystkiego złego na świecie jest początkiem, jak znowu z pracy wszystko dobre na świecie powstaje, bo człek o złem nie ma nawet czasu pomyśleć.— Ale jeżeli chcecie, żeby słowa wasze nie szły na marność, starajcie się sami chronić od najmniejszego nawet; bo jeżeli człek pijaństwem wielki grzech popełnia, to gospodarz w domu pijany w dubelt grzeszy, albowiem staje się dla dziatek złym przykładem; takiemu lepiéj uwiązać kamień młyński u szyi i utopić, jak dozwolić, żeby dziatki gorszył.

No, zostańta z Bogiem moi sąsiedzi! — mówił daléj Janek, zatrzymując się przed swojem domostwem — cały mokry jestem od wody,

co mnie nią tak zleli w karczmie, trzeba się przewdziać będzie.

—„ Ej! to fracha moj Janie! woda, ale mnie gorzej poczęstowali —odezwał się Pakuła wzdychając i poruszając ramionami — bo któryś kijem tak mnie liznął przez plecy, że aż mi w kościach zachrobotało.“

—„ A czy weszliście mu w drogę?“

—„ Bogać ta miałem wejść, ino widać tak z jankuru do bicia, i jak się rozmachał, tak pierwszego co się nawinął, huknął i juścić.

—„To też to powinno być dla nas nauką, żeby nie chodzić w takie miejsca gdzie ludzie zamieniają się w bydlęta.— No, idźcie z Bogiem, moi ludzie kochani! odrzekł Janek, i wszedł do chałupy.

— —

W o d a.

(Dokończenie).

—

W poprzedzającym numerze 5ym Czytelni, mówiliśmy wam o ilości i konieczności wody— teraz przystąpmy do rozmaitych użytków wody, w stanie ciekłym będącéj, jako też wytłumaczmy sobie, dlaczego to w jednych wodach lepiéj prać niż w innych, dlaczego wody dobre do picia, są nieprzydatne do prania, i wreszcie, zkąd to pochodzą wody mineralne, czyli lekarskie?

Powiedziałem wam, że woda składa się z kwasorodu i wodorodu, ale czystéj wody nigdzie na ziemi nie znajdziecie, zawsze w niéj znajdują się rozmaite rozpuszczone ciała, od których własności wody pochodzą.

W ogóle wszystkie wody dzielą się na, *morskie*, *deszczowe* (śniegowe), *źródlane*, *studzienne* (zdrojowe) i wreszcie *rzeczne*, i każdy z tych gatunków odznacza się innemi, sobie właściwemi przymiotami, pochodzącemi od rozmaitych, w nich rozpuszczonych ciał.— Zapewne nie potrzebuję wam tu mówić, co to jest ciało rozpuszczone w wodzie, boście sami nie raz widzieli, co to robi się z cukrem lub solą, po wrzuceniu ich do wody.

Zastanówmy się pokrótce nad wyżéj wskazanemi gatunkami wody. I tak:

Woda morska ma w sobie rozpuszczone rozmaite ciała, między którémi najobficiej znajduje się sól kuchenna, ztąd woda ta ma smak słony, smak zaś gorzki pochodzi od soli gorzkiéj lub angielskiéj i innych w niéj rozpuszczonych ciał.

Woda morska, z przyczyny rozpuszczonych w niéj rozmaitych ciał, jest gęstszą, a zatem i cięższą od wody zwyczajnéj. Z niéj łatwym sposobem otrzymać można sól kuchenną, przez proste tylko ogrzewanie, czyli odparowanie wody.

Woda deszczowa powstaje, jak wam już mówiłem, z parowania oceanów, mórz i t. d.; musi więc być ona bardzo czystą, gdyż z parą prawie nic ciał w wodzie rozpuszczonych podnieść się w górę nie może. Nigdy jednak woda deszczowa zupełnie czystą nie jest, ale zawsze zawiera w sobie trochę powietrza i bardzo małą ilość ciała zwanego *węglanem amonjaku*, od którego zależą własności wody deszczowéj; t. j. zbawienny jéj wpływ na rośliny, dobroć do prania i wreszcie pewna śliskość, jaką czujemy, myjąc się tąż wodą. Mydło w wodzie deszczowéj rozpuszcza się bardzo łatwo, nie tworząc osadu, czyli nie *warzy* się w niéj, a to dlatego, że w tym gatunku wody oprócz ciała wyżéj wam wskazanego, t. j. węglanu amonjaku, niema innych ciał rozpuszczonych, a właśnie to owe inne ciała warzą mydło.

Własność wody deszczowéj w zupełności posiada woda pochodząca ze stopniałego śniegu, i dlatego o téj ostatniéj nic mówić wam nie będę.

Z powodu tych własności, mianowicie z powodu owéj śliskości, wodę deszczową zowią powszechnie *wodą miękką*, dla odróżnienia jéj od *wody twardéj*, t. j. źródlanéj (studziennéj i zdrojowéj), któréj własności zupełnie są różne. Widzieliście bowiem, że źródła powstają z wody deszczowéj, wsiąkłéj w ziemię; lecz nim ona doszła do pokładu gliny, czyli nim utworzyła źródło, poprzednio przejść musiała przez pewną grubość ziemi. Ale w ziemi zawsze znajdują się rozmaite sole i metale, więc woda deszczowa przesiąkając przez ziemię, przechodzić musi przez owe ciała, a przechodząc, zabiera drobniuchne ich cząstki, w sobie rozpuszcza, i rozumie się smaku ich nabiera. Od tych to cząstek smak, kolor, zapach i własności wody źródlanéj zależą. I tak:

Jeżeli woda przechodzi przez pokład soli, utworzy się źródło słone, jakie mamy w Ciechocinku; jeżeli przechodzi przez pokłady siarki, utworzy się źródło z wodą siarczaną, jak to ma miejsce w Busku i Solcu; jeżeli wreszcie przechodzi przez pokłady rud żelaznych, utworzą się wody żelazne, jak np. w Goździkowie w Opo-

czyńskiem. Prócz tego woda studzienna i źródlana często bardzo przepływa pokłady wapna, i to w niéj się rozpuszcza.

Otóż i macie wytłumaczony początek rozmaitych źródeł mineralnych, i zapewne sami łatwo pojmiecie, że nic nie jest trudnego, ani dziwnego zrobić sztuczne mineralne wody, jakie robią w Warszawie w Saskim lub Krasińskim ogrodzie.

W zwyczajnéj źródlanéj wodzie znajdują się rozmaite rozpuszczone ciała, jako też wapno, magnezya, siarka, żelazo, sól i t. d. Otóż wszystkie te ciała nadają wodzie źródlanéj pewien odrębny smak, jaki pijąc tęż wodę, czujemy; daléj ciała owe robią to, że ona z mydłem warzy się, i dlatego do prania wcale się nie używa, i wreszcie od nich pochodzi i ta własność wody źródlanéj, iż przegotowana w jakiem naczyniu, na ścianach jego osadza twardą i mocno przylegającą powłokę *naskorupieniami* czyli *inkrustacyami* zwaną.

Wody studzienne i zdrojowe, jako ze źródeł utworzone, mają własności wody źródłowéj, czyli woda ich jest twardą.

Z wody twardéj łatwo miękką zrobić, dodając do pierwszéj ługu z popiołu przygotowanego.

Woda rzek, jezior bagien i t. p. chociaż wprawdzie powstała po największéj części z wody źródlanéj, ale że ciągle zostaje w zetknięciu z powietrzem, i bardzo często przybywa do niéj czysta woda deszczowa, nie posiada własności ani wody źródlanéj, ani deszczowéj, czyli nie jest ani twardą, ani miękką, tylko środkuje między temi gatunkami. I w saméj rzeczy woda rzek, jezior i t. d. używa się i do prania i do picia, ale nie z takim skutkiem, jak właściwa woda miękka lub twarda.

Słówko z nauki niedzielnéj.

Przed dwoma laty byłem w Olsztynie, miasteczku położonem u stóp ogromnéj góry, na któréj szczycie wznoszą się wspaniałe zwaliska starożytnego ogromnego zamku.

Było to przy końcu lipca. Dzień pogodny odbijał w całéj okazałości piękność okolicy, i otwierał daleko ów miły krajobraz. Pod samą zaraz górą stał cichy i piękny kościół, który teraz woniejące lipy zielonym ocieniały liściem. Zdaleka już słychać było kościelne organy, i śpiew modlącego się ludu, owe lube dźwięki, co serce człowieka zawsze jakiemś błogiem rozrzewnieniem napełniają.

Pospieszyłem i ja na nabożeństwo, gdy właśnie ksiądz proboszcz zaczął swą niedzielną naukę, w któréj pomiędzy wielu prosto, lecz serdecznie powiedzianemi rzeczami, tak się odezwał: „Pan Bóg stwarzając świat, przez 6 dni bez przestanku pracował, — siódmego odpoczął i dzień ten poświęcił. Spytacie zapewne, dlaczego tylko ten siódmy dzień a nie sześć poprzednich poświęcił?

Oto dlatego bracia mili, że tamte sześć dni praca uświęcała — a ten siódmy aż ręką boską poświęconym być musiał, aby się stał równym sześciu dniom pracy“.

Nad te proste, ale przekonywające słowa szlachetnego kapłana nic wam więcéj nie powiem, widzicie bowiem z nich jasno, ile praca jest miłą Bogu na niebie, a uzacniającą człowieka tu na ziemi!

Zdania.

1. Majątek twój może się zrujnować; spiesz się, dawaj go przyjaciołom i biednym, to się pewno zostanie.

2. Czterech jest wielkich lekarzy, których wszędzie znaleść można: praca, dyeta, spoczynek w czasie, i wesołość umysłu.

3. Zemsta jest małych dusz dziełem, a darowanie winy, człowieka wielkomyślnego oznacza.

4. Więcéj ludzi boi się złéj sławy, niżeli sumienia.

5. Wielu jest, którzy dają, ale mało, którzy dać umieją, a mniéj jeszcze, którzy odbierać umieją łaski.

6. Poznać to, że nic nie wiem doskonale, jest najpierwszą mądrością, a poznać niesprawiedliwości własne, jest najpierwszą cnotą.

7. Nikt nie będzie szanowany, kto sam siebie nie szanuje.

8. Łatwiéj wiele obiecać, niżeli mało dać.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 24 stycznia (5 lutego) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*